



80806

Z

P



80806



JÓZEFAT NOWIŃSKI

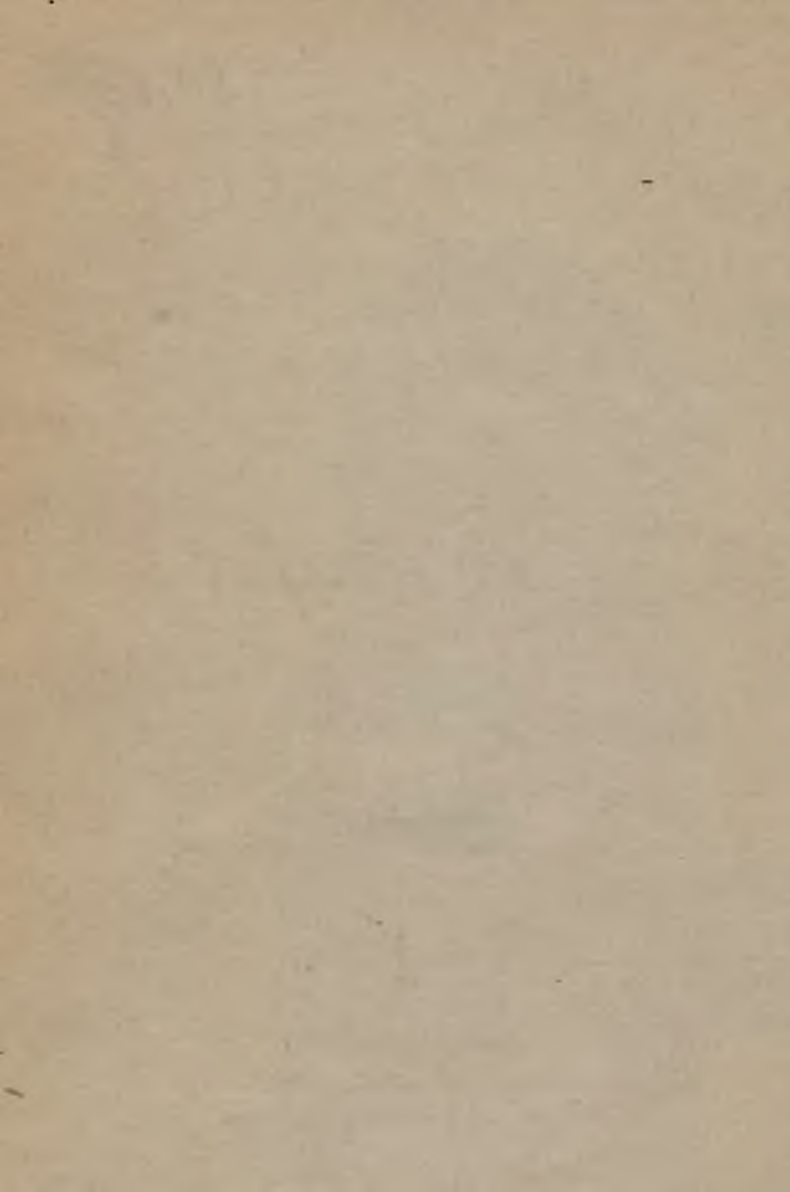
KU BYTOWI



LWÓW

KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA
WARSZAWA — E. WENDE I SP.

1906



80.806
I

KU BYTOWI

JÓZEFAT NOWIŃSKI

KU BYTOWI



LWÓW
KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA
WARSZAWA — E. WENDE I SP.
1906

INSTITUT PASTORALNY



I.

— Cóż, bramanie, żeś ni sam, ni przodków ustami nie pożarł trupa zwierzęcego? żeś krwią ręki nie skalał? Kiedy w roku trzecim stania twego na jednej nodze zbliżył się do rzeki świętej tygrys, obawa twoja, by ci nie przeszkodził dopełnić obiecanej bóstwu miary lat, zabiła.

W potopie pozorów toną mirjady dusz o woli ślepej jeszcze. Innym mirjadom własna wola zda się ledwo ostatnią z brzegu przyczyną wiru przemian we własnem ciele, myślą rwącego się w przyszłość najbliższą: jak oczy nie sięgną za widnokrąg, tak wzrok ich duszy nie dojrzy wszechogarniającej woli swej poza umyślnością. Bogowie, których boskość tajemnicą jest nawet dla nich samych.

Nie widzą jeszcze progu człowieczeństwa, którzy prężyć muszą mięśnie, by czegoś dokonać, którym tylko przypadek wiatru nieznanego pod stopy rzuca kwiat czy owoc życia, tylko przypadek dżdżu i słońca gna kielek rośliny.

Lecz choćby serce własne i tętno wszelkiego życia słuchało rozkazów twych: „stań! bij znów!“, jeszcze ci się nie ukazała zasłona bytu, skoro chęci twe przychodzą, jako wiatru podmuchy.

Niby rzeki do morza wszystko znikome dąży do bóstwa: nie mąć stawania się. Żądza zaklina rwące się do życia głębie w złoto martwe i żyły jego z pod ziemi wywija; pozory życia rozplómienia, żywot przygasza.

Cóż panowanie nad ręką i okiem? Najśłabsze chcenie twe, o człowieku, mocne jest niszczyć i stwarzać.

Bądź skąpcem chęci: nawet zwierzę bezrozumne żył sobie nie przegryza, by krwią znaczyć kroki.

Uczyń wolę swoją okiem, wpatrzonem w byt. W niej niech pozna siebie pierwsza przyczyna i cel ostateczny.

Duch blizki i widzący patrzy w niezmienną wiekuiście treść wszechrzeczy, a moc jego, nie

rozpraszając się w wirach złudzeń, rośnie ku Nirwanie, aż wolny od chcień nawet swoich w niej stanie się bytem skupionym w sobie na wieczność, nieruchomym, doskonałym...

Bez drżenia powiek wpatrzeni słuchali wybrańcy, którzy, minąwszy pustynię, przedarli się przez dżunglę ku temu brzegowi oceanu. Kiedy Rishi umilkł, długo jeszcze chłonęli jego słowa: tak potoki ulewy sączą się do coraz głębszych pokładów spękanej ziemi. Potem spojżenia, jako ptaszęce ku orłowi, pobiegły wszystkie ku ostatniemu z przybyszów. Sam jeden wśród kornych i samozapartych stał on wyniosły, nie odrywając wzroku od twarzy Widzącego, który po długiej chwili znów przemówił.

— Gauryzankar ulitował się ongi pustyni, gdzie ludzie konali z pragnienia lub je gasili z cuchnących cystern. Rzekł: „wieki wieków kuły mi zawój z lodowców, lecz skrzydła ciepłych wiatrów nie śmiały sięgnąć mych skroni: uniżę. Niech płyną rzeki oczyszczenia i ukojenia“. I aż do objęć poziomych wiatrów uchylił czoła, które całowały dotąd tylko promienie dziewicze, by zapalać cuda barw. Popłynęły rzeki święte i — kalane brudem ciał i dusz — kołły pragnienie rzezańców. I korona tajała,

i stopy zuchwałe zanosiły kurz dróg ludzkich na przeczystość jej białości i tęczy. Aż ujrawszy nagość swych skał Gauryzankar pojął, iż sama tylko Nirwana przetrwa pustynię podłości i nędzy istot żywych, i dźwignął głowę w niebo samotności — na wieczność.

Rishí oparł się o pień palmy i przymknął powieki, jakby drzemał. Słuchacze pojęli, że patrzy w siebie, że myśl jego wionęła przez dżunglę własnej duszy, gdzie każdy liść jest słońcem — czemuże kwiaty? — i dalej, w nieskończoność ku wiekuiście nieruchomemu bytowi. I czekali, aż wróci dech, przepojony duchem i tajemnicą.

Słońce zapadło w morze. Nikt nie śmiał wciągnąć w płuca nagłego niepokoju ciemności; każdy wolą ucisnął serce, żeby nie biło. Ich obawa obudzenia tego, czyje czuwanie było pokojem i mocą wszystkich, uciszyła szept palmy nad nim oraz pomruk morza i puszczy. Księżyc wypłynął z nad niej, potem słońce: Rishí nie otwierał oczu. Przetrwali w bezruchu jeszcze dzień, jeszcze noc i jeszcze... Wreszcie jedni uczyli pragnienie i głód, drudzy chęć ogłoszenia światu słów mądrości, innych zdjął strach: źrenice Widzącego zaczynały przeświecać skroś

powieki. Tracili władzę nad rzeczami: w grozę głosu wód i dżungli wdarł się ryk dzikich zwierząt. Coraz bardziej przerażał ów, przed którym każdy chciał paść na twarz, jak niewolnik przed panem, czy przekłęty przed demonem.

I rozpierzchli się na wszystkie strony świata z nauką mistrza i wieścią o jego przejściu do Nirwany: „samo bóstwo zstąpiło, by wypić wzrokiem i stopić w sobie istotę Oświeconego“.

Pozostał tylko ów dziwny wędrowiec.

Mijały dni, a Rishi wciąż tak trwał, tylko źrenice jego coraz wyraźniej przeświecały, niby słońce przez mgłę rzednącą. Tymczasem palma, o którą się opierał, potężniała z godziny na godzinę, coraz wyżej i rozłożystej rzucając wachlarze liści. Martwy pień, na którym spoczywał, puścił korzenie i zazielenił się. Barwą rubinu mienić się zaczął kamień pod jego stopami, przy których wytrysły dwa białe lotusy. I wędrowiec mówił do niego myślą:

— Do stóp tych, co byli nademną, siałem kolejno dumę i wolę, by władać tymi, nad których się wznosiłem, aż zostałem królem narodu. Mogłem się tuczyć krwią i złotem innych ludów i swego własnego, byle głosząc ofiarom i kałom

i ziemi całej, że to dla jego dobra. Ono — nawet w ustach pochlebców — było ojcem sławy mojej. Jakże kochać, kiedy wyznawać miłość — mus? ...mus — ojciec buntu! ...kiedy nienawiść trzebaby cichą żmiją słać ku stopie olbrzyma? Nie wolno mi było wybuchnąć gniewem przeciw żadnej podłości, ni zachwytem dla żadnej szczytności bez powołania się na nędzne poczucie powszechne sprawiedliwości, prawa i dobra. Znikłem więc, by się wynurzyć w cudnej a dzikiej krainie, gdzie nie było ludu, tylko stado ludzkie. Stało się moją własnością. Od dawano mi radośnie najpiękniejsze ziarna, zwierzęta, dziewice i klejnoty a Bóstwem zwano.

Nimbym dał błogość, nieznaną innym krainom, chciałem uczuć, iż potęga moja nie ma granic. Na skinienie me głowa wodza, gdy składał u podnóża tronu trofea zwycięstw, padła na korony królów, pobitych dla sławy imienia mego. Ale uwielbiono sprawiedliwość moją domysłem kapłanów, że była to kara za ich nieposzanowanie. Zginęły najprzedniejsze kapłany: sławiono mnie, że przeznał złość służby bogom. Kazałem zwalić bożki, i tu był kres potęgi. Którzy byli na odległość miecza, z prochu wołali, iż jeden ratunek przed rozjuszonym

morzem ludzkim: wyprzeć się tych, już pobitych, co porwali się byli wykonać moje rozkazy. Rzekłem sobie: „dziecko nędzarzy — rozgniatąłem owady bosą piętą, król królów — gniotłem więcej i większe. Ale zawsze niewolnik. Nie chciałem nim być ludowi, mamże stada oddać hołd, jako panu swemu — kłamstwem? Pobiłem płazy ludzkie, co się pod miecz nawinęły, i w godnem losów przebraniu niewolnika uciekłem. Przeczyłem cud tego wybrzeża, i oto z promieniowania ducha, co spada na ciebie, jako śniegi na Gauryzankar, czuję w sobie moc niezmierną roślinną, zwierzęcą, ludzką, boską, wznoszącą się ponad szczyt — nawet pragnień mych i marzeń.

W chwili, gdy słońce zapadło, korona palmy nagle rozszerzyła się jeszcze i dźwignęła w górę, mnóstwo kwiatów strzeliło z pnia, na którym spoczywał Rishi, a lotusy były fontannami światła, bijącemi z basenu płomienia. Wreszcie błyskawica ścianą stanęła przed Widzącym.

Przy nowem słońcu wędrowiec ujrzał tylko olbrzyma — palmę, bujność leżącego pnia i fontanny kwietne lotusów: zdawało się, iż każde z tych istnień wzięło więcej mocy, niż pomieścić było zdolne.

II.

Sploty lian rozplatały się, drzewa rozstępowały, głązy staczały na stronę; kobry i tygrysy przerażone uciekały. Wielki pyton, co go dotknął, padł, jak gałąź odcięta. Palmy rzucały mu do stóp kwiaty i owoce. Wszystko żywe i martwe wplatało się w tkankę jego myśli, zanim zdążyły stać się chęciami. Wreszcie wszedł między ludzi. Przy bramie napotkanego miasta strażnik, co chciał drogę zagrodzić, padł trupem. Uszedłszy sto kroków, ujrzał wędrowiec wśród świetnej świty w złocistem pudle, niesionem przez ośmiu czarnych niewolników, jakąś opasłą i ospałą postać, świecącą od drogich kamieni; zaledwo jednak pomyślał, iż lepiejby już wrzającej młodości przystała władza ta i przepych, radża targnął się konwulsyjnie i wypadł, jak ryba z sieci na

piasek, a na spienionym rumaku ukazał się w głębi ulicy młodzieńczy dziedzic jałowych klejnotów, zbrojowni, skarbcza i haremu.

Mijając bazar, kilkudziesięciu kupców i kupujących, jacy usiłowali oszukać siebie nawzajem, poraził wstrętem swym tak, jak dziecko wrzątkiem chlusta na owady ohydne.

Meczet oblegały żebraki — starce, kaleki, oszusty.

— Czego tacy mogą się spodziewać? czego pragnąć?

Zbliżywszy się pozdrowił ich, jakby przemowę zaczynał:

— Bismillachir rachmanir rachim! ¹⁾

Potem dodał:

— Dostaniecie po srebrnej monetce.

Ale uradowanym dawał kolejno duże złote, szepcząc każdemu ukradkiem:

— Tylko tobie.

Wszystkie maski nędzy wykrzywił najrozkoszniejszy uśmiech, ale jeszcze pierwszy nie zdążył się stać błogosławieństwotryskiem, kiedy na nich spadł dar najwyższy: żaden jednak nie wypuścił złota z martwej dłoni.

¹⁾ W imię boga łaskawego i miłosiernego.

Wędrowiec był wnet daleko. Przez sieć uliczek i ulic mahometańskich i induskich dostał się do dzielnicy ohydneho brudu i nędzy: par-yowie, którzy dostrzegli królewskiego wędrowca, zaczęli uciekać przerażeni — ci do nór swoich, tamci ku rzece. Lecz nagle wszyscy się zatrzymali tak, jakby powietrze dokoła nich stę-żało w kryształ; potem bryły powietrza stanęły dokoła wędrowca, który zawołał:

— Jam jest Siva.

Odtajałe nędzniki bez jęku nawet padły twarzą w proch przed bogiem boga, który po- tępił plemię ich przed wiekami.

— Zbierzcie się wszyscy przed zachodem na polanie wśród zarośli nadrzecznych, byście usłyszeli wieść wiekuiście radosną. Ale łaska minie wszystkich, jeśli zabraknie tam choć je- dnego z mieszkańców tej dzielnicy, choćby ko- nającego starca lub nowonarodzonego dziecięcia. Rozbiegnijcie się na wszystkie strony, świadczcie, zwołujcie, znoście.

I znikł im z oczu. Przed zachodem zaś ró- wnież nagle objawił się wśród zebranego plemienia groźny i olśniewający i głosem gromu rzekł:

— O to ja — śmierć i życie, potężny. Bra- mani coraz gorzej służą wieczności i przekręcają

wolę moją, kszatryowie zaś pomagają im. Wyrzekam się i skazuję ich na dolę paryów, świątynie zaś i dobra ziemskie wszelakie, i cześć, i moc imienia mego — powierzam wam. Bierzcie nie dołączne i idźcie w miasto. Przy każdym będzie duch, co wskaże przeznaczoną mu świątynię lub pałac, bo dawne legowiska wasze są już zajęte przez dawnych bramanów i kszatryów.

Nawet nieprzytomni pojęli i konający się zerwali, a ze wszystkich piersi naraz buchnął okrzyk, który był wiarą, wdzięcznością, zachwytem, uwielbieniem, modlitwą. Zamarł również nagle, bo żadna istota ludzka nie może przeżyć mgnienia takiego szału. Ale wędrowiec nie usłyszał już tej nagłej ciszy, bo sam padł, jak nieżywy.

Ocknąwszy się o świcie z uczuciem rozkosznego znużenia, jakby po nocy miłości, odszedł, patrząc tylko wśród ciał miejsca dla swoich stóp. Godziny skwaru przetrwał znów we śnie głębokim, w podmiejskim gaju cieniستم, potem ruszył ku zamkowi, co z góry panował nad grodem. Wymijając trupy strażników u bram i drzwi, szedł przez podwórze, pełne szmeru fontan, ku coraz dziwniejszym arkadom i arabeskom, potem na dźwięk muzyki namiętnej

i lubieżnej, jak ciało dziewicze, z którego spadają jedna po drugiej zasłony z muślinu.

Wreszcie znalazł się w olbrzymiej sali, której powietrze przesycone było muzyką, wonościami, błyskami niezliczonych lamp różnokolorowych, ócz płonących, zębów lśniących, nagich szabel sipajów i ciał niewolnic, drogich kamieni na rękojeściach i zawojach, cudem obłądnie barwnych rzeźb stropu i mozaik po ścianach, i wpadającym z podwórza namiętne łąkanie fontanny.

Pod gwiazdzistym baldachimem na tronie siedział starzec wszechpotężny, Alamgir, „zdobywca świata“. Oczy krwią mu nabiegły. Na wargach, z pośród których błyskały zęby, lśniły krople białej piany. Bursztyn huk królewskiej padł był z ust i ręki i, stoczywszy się ze stopni po kobiercu na mleczny marmur, złościł się potłuczony.

Z zielonego zawoju patrzył groźnie potworny, czarny dyament, jakby oko szалу. Dwie niewolnice z nagiego hebanu olbrzymimi wachlarzami z piór strusich migotały nad panem, co dławił się tym świeżym powiewem.

Za nim stał wielki wezyr, co zapomniał, że przyszedł był tylko donieść Zdobywcy Świata,

iż okropny diw - mór nawiedził jego stolicę, i błagać o rozkazy. Nawet zgrzybiały wódz eunuchów w oczach miał szal męskości.

Na bieli marmuru — dywan Kaszmiru, a na tej łące czarodziejskiej tańczyła nierząd- nica - kapłanka, wieszczka - dziewica, porwana z najświętszej świątyni induskiej bajadera.

Każdy ruch nagiego torsu był naprzemian posągiem i pocałunkiem, upojeniem i strachem, pokusą i zgrozą, błaganiem i ucieczką, wstydem i oddaniem się, kością słońcową i mgłą, ciałem i duszą. Błyskawice wyrazów twarzy były bar- dziej upajające od muzyki i wyrazistsze, niż słowa.

Zawieszoną na biodrach tunikę koloru kości słońcowej i jej ciała, tkaną w złoty, fantastycznie rozwiewny deseń święty, spinał rubin olbrzymi: jakby płomień tryskał z jej żywota. Widne z pod tuniki stopy bosc poruszały się z nieuchwytną szybkością. Lecz wśród najnaglejszych ruchów ani drgnęły święte klejnoty na szyi i piersiach.

Biegła ku Alamgirowi — kochanka stę- skniona; potem się cofała, jakby spostrzegłszy, że to tylko widmo ukochanego. Ale nie, to on — żywy kochanek. Bieży więc szalona w jego szal.

Wtem opamiętała się: znów się cofa. Pło-

mienna mgła wstydu przesłania jej rysy. Biodra pod tuniką zwężają się w dziecinne. Ramiona i dłonie z powietrza tkają siatkę gęstą, by zakryć przed nim piersi i oczy. Pochyla coraz niżej głowę, potrząsa nią, jakby chciała wyrzucić spięcia, których brylanty lśnią, niby gwiazdy na czarnem niebie, i osłonić się całą nocą swych włosów.

Lecz oto w dziecku rozbudza się kobieta. Chce odurzyć czarem ciała. Zbliża się i cofa, mówiąc każdym ruchem: „biegnę w tve objęcia“ i „pójdź w ramiona moje“. Wabi i nęci każdym przegięciem torsu i ramion, pokorą pochyleń głowy; ciągnie ognistemi splotami spojrzeń, choć długimi rzęsą ćmi oczy.

Już przy nim prawie. Stopy przyrosły do dywanu; wzniesione z błaganiem dłonie trwają nieruchomo; błaga nieruchomemi oczyma; głowa zamarła w błaganiu, a całe ciało drży żądzą i obietnicą nadludzkiej rozkoszy: zadzwoniły na szyi święte perły i ametysty.

Z pamięci Alamgira znikł wzrok niewolników i lamp. Niepomny, że miano mu ją zanieść na puchy dopiero gdy zmożona własnem upojeniem padnie u stóp jego, zerwał się biec, by ugasić szal, i wnet opadł, jakby go już uga-

sił. Ale nawet spojrzenia eunuchów i niewolnic przyczarowane były do bajadery.

W mgnieniu, gdy Zdobywca Świata się targnął, porwał ją wir wstrętu i przerażenia: to był nie on! Cofała się przymykając oczy, odwracając twarz i wyciągając odpychające ramiona. Zatrzymała się na środku, jakby chcąc odetchnąć czy pojąć; potworne zdziwienie przesunęło od ramienia do ramienia jej głowę, która ani drgnęła w swej pinowości. Potem zaczęła ją zwracać tancerka na prawo i na lewo, jakby wypatrywała kogoś w skamieniałej ciźbie popod ścianami. Wreszcie spojrzała przez ramię za siebie i zamarła: on stał sam jeden na tle mroku drzwi i łkania fontanny.

Zwróciła się. Cudnie bezwstydnym ruch bioder zerwał spięcie tuniki, i błyskawicą błysła ku niemu jej nagość. Nagły i szybki, jak błyskawica, dech wiatru poniosł ją ku niemu. Padła na kolana, jakby chcąc się wlec do nóg pana i kochanka, a wtem przegięła się w tył, pasując się z miłością, omdlewając. Brylanty spięć się rozsypały, i szął włosów czarną kaskadą lunął na tęczę dywanu.

Przegięła się jeszcze; dotykając głową ziemi rozłożyła ramiona, i przez bezwstydnie wyteżone

dziewicze piersi i żywot pobiegły fale takiego dreszczu...

Skoczył i pochwycił ją ptak drapieżny...

...Blaski dogasających lamp pełzały po bieli zawojów, hebanach ciał, sinawych krzywiznach szabel; drażniły dyamenty i rubiny, i szkliste białka Alamgira nad którym lśniły wachlarze nieruchome w ręku czarnych posągów. Strop we mgle kadzidlanej był czarodziejsko tajemniczy i bezdennie głęboki. W zamgloną tęczę ciszy wpadało łkanie dławiącej się rozkoszą czy smutkiem fontanny.

Od proga po płytach marmuru głębokiem łożyskiem płynął strumień jaskrawo-zielonawy poświaty miesięcznej. Już wtargnął na kobierzec: bóg światłem swoim przyglądał się bajaderze i brał w posiadanie.

Leżała wznak. Wyraz ciała i rysów twarzy był krzykiem takiej boskiej i zwierzęcej rozkoszy, jakiej człowiek przeżyć nie może.

Wędrowiec długo stał nad nią pochylony i wpatrzony, jakby skrós otchłań oceanu — w wiekuiście niedostępną...

Szedł ku miastu, ale każdy krok jego był o jakąś nieuchwytną cząsteczkę czasu wolniejszy.

Wreszcie zawrócił ku stronie, gdzie na tle szafiru w blaskach miesiąca drżał od rzeźwiącego powiewu gaj.

Na skraju stała — strażnik czy wódz — palma, a u stóp jej leżał pień. Wędrowiec przypomniał sobie miejsce, gdzie moc nań zstąpiła, i chciał myśleć dziękczynnie o tem, iż bardziej przerósł potęgą Zdobywcę Świata, niż ten najnędrniejszego ze swych niewolników, iż doznał rozkoszy nadludzkiej... Ale myśli, przesiąknięte mgłą tęsknoty, nie chciały się zapalać.

Usiadł na pniu zwalonym, oparł się o palmę i przymknął powieki, jakby je ciężar smutku stulił, i usiłował pojąć, czemu tak dziwnie igrały promienie księżycy ze łzami fontanny?...

Wszak wszyscy umrzeć musieli. Czyż nie lepiej było starcowi skonać w szale poczucia młodzieńczego żądź i mocy, zanim się przekonał, iż pragnienia przeżywają siły? Mogłaż kiedy bajadera bardziej upoić tańcem innych i siebie? dać i doznać większej rozkoszy, niż ta, w której zapomniała i obecności Alamgira i swego dziewictwa i wstydu? Czyż sto lat rzeczywistego bramaństwa dałoby choć jednemu z owych paryów chwilę radośniejszego uniesienia?

Gdyby naprawdę zmienić role, byłyby znów zazdrosne mocarze i nieszczęśniki nieczyste.

— A kłamałem — pomyślał, otwierając oczy — dla nich, nie dla siebie: nie jak niewolnik, lecz jak bóstwo, co sypie na wszystkie oczy i duchy pył niezliczonych złud...

— Czy ty kierujesz mną? — zawołał nagle. Czy wolnością ludzką jest tylko wykonywanie natchnień twoich, a niewolny dopiero ten, kto ma w sobie sam przeszkody, co się przed wolą jego otchłaniami zapadają lub górami nadniebnymi piętrzą? Czy wszędzie, gdzie spotkają się dwa życia rodzi się niewola wzajemna? Więc wolne jest wszystko, co martwe, a na niewolę skazan jeno duch? Czy tylko na ziemi?

Powieki znów się mu zwały, bo cichnące myśli wciąż szły dalej, niż oczy. I oto nagle ujrzał wir mgły gwiazdnej i za nim uczuł spojrzanie Oświeconego. Wir był coraz szybszy, aż się stawał nieruchomością. I padł wreszcie z niego na wędrowca wzrok widzący, i poszedł skrós, coraz dalej, w nieskończoność.

I minęła noc, jako mgnienie oka. Nie zbudziło zadumanego ni miasto, ryczące ze strachu i wściekłości, ani tłum wojowników, co o świ-

cie otoczył go pierścieniem wrzasku i szczęku. Czekano na hasło: „żywego braci, czy umarłego?”

Ale diw nie ocknął się nawet na warkot cięciw i świst strzał, których chmura oberwała się nad nim: ziemia dokoła zjeżyła się strzałami, jako brzeg rzeczny gąszczem trzcin porosły. Została tylko ścieżyna, jakby wydeptana przez chodzące pić kozy dzikie.

Wtedy wszyscy zamarli. Zrobiła się taka cisza, że każdy wojownik mógł słyszeć wodza, co z za wojska obserwując, wzięwszy nieruchomość czarodzieja za martwość, nie dostrzegłszy cudu, rozkazał ścisnąć koło. Kluci przez starszyzną ostrzami obelg i mieczów szli tłocząc się coraz bardziej, aż wędrowiec nagle wstał, jakby snowi jego zrobiło się duszno od tyłu oddechów. Szedł ręce wyciągnąwszy przed siebie. Szeregi, nie słuchając wodza, wraz z dowódcami padały na twarz po obu stronach jego drogi.

Zaczął biec, bo wir gwiazdny coraz wolniejszym i chaotyczniejszym ruchem przesłaniał wzrok w sobie utajony. Tłum się rozstępował. Wreszcie owa mgła błysła czerwono i zagasła. Wzrok wędrowca z rozpaczą wrócił z dali —

i padł na bronie najeżone. I słuch otworzył się na wrzask dziki. To mgnienie stało się gromem, i na obie strony drogi już nie dusze zwyciężone rzucały ciała żywe, ale śmierć zwycięzka — trupy.

III.

Wśród doliny kwitnącej stało olbrzymie mrowisko ludzkie, różnobarwne, błyszczące w słońcu. Wiedział, że urosło w chmurze rozgwaru, ale do chmury górnej, skąd patrzył, nie dochodziły odgłosy. Wiedział, iż lud się tam kłębi, ale stąd nie dostrzegłby zmiany, choćby nagle wszyscy wymarli.

Tam to był starszym bratem bogów, póki się z nimi nie skłócił. Był ruchomym bożkiem, trochę tylko mniej niezbędnym od nieruchomych, czczonych też nie za materyał, w który je wcieliła wyobraźnia ludu, lecz z potrzeby czczenia. Ulegali nie jego, lecz własnej woli, dzikiej i bezrozumnej; padali na twarz nie przed nim, lecz przed symbolem swego widomego niewolnictwa i tajemnej potęgi; nie przed duchem, lecz przed

tyarą. Upokorzyciele najwięksi bezwiednie zaprzeczali mu istnienia, bijąc czołem tronowi króla królów!

Tam, gdzie zawsze ołtarzem było miejsce, na którym stał, raz tylko odczuł prawdziwie swą królewskość.

Kiedy go rozwstrętniały zanadto hołdy niewolników i pieszczoty niewolnic, okrywszy świętość władczą płaszczem nędzarza, wymykał się wyjściem tajemnym z komnat, do których wstępu broniła tymczasem straż nie śmiejąca oddychać. Mieszał się w tłum, potrącany niekiedy łokciami lub słowem zelżywym, i dziwną rozkosz sprawiała mu myśl, iż gdyby zrzucił płaszcz, tłum w prochby padł: zelżyciel — trupem. Nasuwał więc kaptur staranniej i odchodził.

Raz się zapatrzył na najpiękniejszą kurtyzanę swej stolicy, którą niosło w lektyce czterech niewolników.

— Postawcie! — zawołała, jakby zaśpiewała.

Potem skinęła na wędrowca, żeby się zbliżył.

— Widzę, żeś podróżny. Jak się nazywasz? Ale wszystko jedno! Dziwna, żeś nędzarz, bo patrzysz dumą i mocą. Strudzonyś?

Niosą mnie na uczcie... Gdybym miała choć jedną z tysiąca sztuk złota, które dostanę za tę noc!... Gdzie nocujesz? Czy masz na gospodę? Milczysz? Wstydzisz się? Poco zakrywasz czoło? Jest królewskie.

Wyjęła z ucha duży brylant i, podając, rzekła:

— Tego starczy na wszystko... Czegoż stoisz nieruchomo? Czyś żywy? Oczy ci się żarzą, jak upióra: czy uroczone? Ale wszystko jedno! Ach, rozumiem: wieczór zapada, i kupcy zamykają sklepy. Zresztą posądzonoby cię o kradzież. Przyjdź jutro... Skiń, że przyjdiesz, jeśli nie chcesz mówić. Nie? Więc o świcie już w dalszą drogę?...

— Odejdźcie daleko — krzyknęła niewolnikom — i przypadnijcie do ziemi.

Potem znów muzyką słów jeszcze bardziej cichą i przejmującą:

— Idź za mną. Orzeźwisz ciało strudzone kąpielą o zapachu różanym, powieczerasz ze mną chlebem i owocami i znajdziesz do rana gospodę w mojem łożu.

A przywoławszy niewolników kazała się nieść z powrotem.

I oto wzrok patrzącego z tej góry na dawną

swą stolicę odrywał się i od pałacu, gdzie wielkorządcy i królowie obcy stopy jego całowali, gdzie tysiąc dziewic czekało na zaszczyt i błogosławieństwo kaprysu jego; i od świątyni tego, co go z królestwa wygnał, — by biec ku cichemu i pełnemu zieloności przedmieściu. Myśl od zemsty biegła ku wdzięczności. I poszedł.

W dole wszystkie drogi były rzekami ludu. Szły pielgrzymki różnobarwne, dzikie: był to dzień najuroczystszy w całym kraju, święto największego boga. W mieście, wyrwawszy się z prądu, co go niósł w stronę świątyni, wędrowiec skierował się ku znanej uliczce: przed nim szedł jakiś młodzieniec.

Pamiętna furtka ogrodowa była półotwarta, i wychylała się z niej znana postać niewieścia — posąg oczekiwania. Kiedy ów młodzian się zbliżał, zawołała, chyląc kornie i błagalnie głowę i to przyciskając ręce do piersi, to je doń wyciągając:

— Wstąp do mnie, piękny! Nie chcę złota, jeno pocałunku...

A kiedy ten wymijał, jakby nie słysząc, uczyniła gesty swoje rozpacznie cynicznymi: zdawały się bezwstydem bardziej konania, niż obłądu. Odszedł, i zamarła z rękoma wpląta-

nemi we włosy. Patrzyła za nim, ani czując, że się ktoś zbliżył i stał przy niej długą chwilę. Kiedy tamten znikł na zakręcie, siły nagle ją opuściły: zachwiała się i byłaby padła, gdyby jej wędrowiec nie podtrzymał. Wprowadził do ogrodu, ułożył na darni. Wiła się i jęcząc i płacząc, krzyczała:

— Gdzież demony? czarodzieje? Ty, najmocniejszy! na dzień święta twego zaklinam cię, daj mi go na noc jedną, a potem śmierć!..

— Stanie się — rzekł wędrowiec.

Natychmiast przestała miotać się i szlochać. Po chwili, jak dziecko, w którym walczy ciekawość z obawą, zaczęła poruszać głową, jakby chciała spojrzeć i nie mogła. Wreszcie głosem drżącym zapytała:

— Jakoż cię kapłani puścili ze świątyni, o dziś czczony?

— Nie jestem bogiem.

Spojrzała ukradkiem, i zdało się jej, że postać tę już widziała, ale nie na ołtarzu w dymie kadzideł siedzącą w bezmyślności tajemniczej. Więc głośniej nieco zapytała znów:

— Tyś demon?

— Nie.

Wtedy zerwała się i krzyknęła:

— Czarodziej?

I wnet przypadła doń wołając szeptem namiętnym.

— Mocneś to uczynić? Chodź, obejdziemy dom cały: weźmiesz wszystko, co zechcesz. Chcesz mego ciała? Dobrze... Ale to kłamstwo. Precz! Nie dręcz mnie! Oczy jego równie bystre, jak cudne: Przez zasłonę widzi farby na mej twarzy, a przez nie — zmarszczki i plamy. A tamta — bodajby ją bóg poraził na cześć swego święta! ma dopiero szesnaście lat...

— Chcesz się ujrzeć kończącą lat dwanaście? Spójrz w zwierciadło!

Pochwyciła wiszące u pasa zwierciadelfko, ale wnet opuściła z niem dłoń zaciśniętą.

— Zostaw mi miłość moją!

— Stanie się wszystko, jak chciałaś.

Błyskawicą mignął kruszec polerowany ku twarzy, której rys każdy ścięty był obawą — i odtajały. Uśmiech radości niezmiernej przedarł się, jakby róża wyblęśła z pod śniegu.

— Tamta ma już szesnaście lat! Gdyby mię taką ujrzał król królów, wziąłby za najpierwszą z żon. Ale chcę tylko swego kochania... Zamknij! — dokończyła szybko, wska-

zując furtkę, jakby się bała, że król królów już stoi u proga.

— Niech on pierwszy!...

Wtem usta jej zaczęły drżeć, potem dreszcz wpełz na łono dziewicze. Spuściła oczy pod spojrzeniem wędrowca, czyniąc widoczny wysiłek wzniesienia ich. Wreszcie szeptem, drżącym jak ciało, rzekła:

— Potężny! zabierz wszystko... wszystko! Ale mnie... potem...

— Nigdy żaden inny mąż nie tknie ciała twego.

Powieki jej zaczęły bić szybko, jakby już ten dar był ponad pojęcie dziwnym, pięknym i dobrym.

— Ani kochanek twój — kończył wędrowiec — nie dotknie żadnej innej piękności, choćby mu tego mgnienia król królów darował całe swoje stado dziewic.

Patrzyła nań, jakby nie rozumiejąc, i nagle szczęście nadziemskie zakwitło na jej twarzy i łzami wezbrało w oczach ogromnych. Podniosła oczy ku górze, i zdało się, jakby słońce rzuciło na nie powieki, a na twarz — cień smutku: stoczyły się łzy, któremi wezbrał za-

chwył. Ale znów łzom ostatnim kazały płynąć po uśmiechu słowa:

— Nie żegnaj słońca: nowe ujrzenie w upojeniu rozkoszy.

I zwrócił się ku wyjściu. Poskoczyła za nim, pochwyciła rękę, padła na kolana i pochylila się, mówiąc:

— Daj stopy ucałować. Większyś, niż bóg dzisiejszy... Więc nie mam umrzeć?

— Umrzecie, zanim dostrzeżesz, iż słońce szczęścia przeważa się przez zenit.

I znikł.

Skoczyła ku furtce, by wyrzeć — nie za nim, lecz ku nadchodzącemu kochankowi.

Sam król królów, otoczony kapłanami, ofiarował bożkowi, który, podgiąwszy nogi i oparłszy na nich ręce, siedział olbrzymi i sztywny, bezmyślnie patrząc ponad wszystkich i poza wszystko krwawemi oczyma rubinów.

Raczył już przyjąć ofiarę ze wszystkich roślin uprawnych, zwierząt domowych, tkanin, kruszców i drogich kamieni. Przyszła chwila najuroczystsza: król królów nożem świętym przelał pierwsze krople krwi ofiary ludzkiej.

Para dziewicza — chłopię i dziewczę —
odurzona kadzidłami oraz dzikimi śpiewami
i wrzaskami, spoglądała jedno na drugie. Zda-
wało się, iż żadne nie czuje okropności własnego
losu, tak mu żał drugiego. Może rośli razem?
Ale czem lata wobec chwili, co tak żeni?

Kiedy król królów ostrzem noża znaczył
miejsce serca pod piersią dziewczeczki, chłopiec
zbladł tylko i oddech wstrzymał. Arcykapłan
na klęczkach przyjął z rąk władcy narzędzie
ofiary i skosztował krwi z ostrza: próba naj-
wyższa wypadła pomyślnie, ofiara godna była
bóstwa. Dał znak. Pochwycono — i niebroniącą
się najsłabszym choćby ruchem złożono na ko-
lanach bożka: w basenie, który one tworzyły,
miały się pomieszać dwie krwie.

Wreszcie wzniosł się z rozmachem nóż
ofiarniczy, i chłopiec mimowoli wyciągnął ręce,
jakby dla obrony, i tak został. Został też ar-
cykapłan z wytężonem w górę ramieniem, z za-
marłą błyskawicą stali w zaciśniętej dłoni. Za-
marli także wszyscy, co tłoczyli się zobaczyć
chwilę.

Do ołtarza zbliżył się wędrowiec, w któ-
rym nikt nie poznał dawnego władcy, bo wszyscy
poznali demona. Oczyrna wskazał chłopięciu

ofiarę: rzuciło się, i wnet dziewczeczka wolna, ale jeszcze bardziej przerażona, niż kiedy zawiśał nad nią nóż ofiarniczy, stanęła przy nim.

Oddał przytulonym do siebie dzieciom czary kryształowe z ofiarowanemi dnia tego kamieniami i złotem, mówiąc:

— Bóg daruje wam jeszcze oczy, których odtąd nie będzie potrzebował.

Wziął nóż święty z dłoni wzniesionej żywego posągu, wstąpił na kolana bożka i podniesioną do góry, jak arcykapłańska, ręką wylupił oczy krwawe i dorzucił dziewczeczce do czary.

Wtedy zawołał do tłumu:

— Prujcie żywoty ciężarne życiem, ale nie serca szczęściem ciężarne.

Poczem zstąpił i rzekł do ofiar drżących:

— Pójdźcie za mną.

I odszedł czując, że już nie wysiłek jego mocy więzi ten tłum, lecz osłupienie.

Szerokim korytarzem, drogą królewską bezmyślnie zdziwione, jakby już zmieniły byt, szły za nim dzieci: on, spoglądający przed siebie, z naczyniem pełnem złota; ona — drogich kamieni, wpatrzona w leżące na wierzchu olbrzymie rubiny, co też zdawały się patrzeć na nią z czary.

Wędrowiec kroczył — wielki w poczuciu swej boskiej potęgi.

Wtem zatrzymali się wszystko troje, jak wryci: słuch i dusze rozdarł im nagły, przeraźliwy, spazmatyczny płacz kobiecy, i wnet cała świątynia za nimi wybuchła rykiem rozpacz, jakby tam każdemu wyłupiono oczy. Pojął: płakali boga, którego jakiś mocniejszy pohańbił, płakali wiary swojej i serc zelżonych; każdy krzyczał płaczem, jak dziecko zgubione na drodze.

Chłopiec podniósł oczy na wędrowca, przyciskając konwulsyjnie do piersi swój skarb, jakby mu go chciał kto wydrzeć, a dziewczeczce omal nie wypadła czara z rąk, nagle opuszczonych. Schyliła jeszcze niżej głowę, a duże brylanty łez zaczęły się rozbijać o uroczne oczy boga.

IV.

Szedł niepomny, iż tę samą drogę przebywał ongi na wozie złotym, lśniąc jak słońce, otoczony tysiącami niewolników, z których każdy był jeszcze powielekroć panem. Szedł z pochyloną głową, nie ciesząc się nawet szczęściem, jakie zapewnił dzieciom owym. Zamiast boskich oczu mistrza patrzyły nań z potwornej twarzy boga oczodoły rozpaczne.

— Czegom dokonał? Czy ból tych ludzi lepszego zrodzi boga, czy temu samemu da oczy dyamentowe? czy wywoła mędrsze kapłany? czy ręki królewskiej nie splami więcej krew dziewczicza? A może mocniejszemu od boga demonowi ofiarują trzy pary dzieci?...

Jakby sił zbrakło potężnemu, usiadł na głazie przydrożnym.

— Każde chcenie — myślał — stwarza i niszczy? Tak, każę rósć nasieniu palmy... jeśli je tu kiedy ptak przelotny upuścił. Lecz jeśli nie? To wiatr wnet je przyniesie, by mnie cieniem okryło, przywieje wszelkie ziarno... jakie jest. Ale gdy zechcę, z pnia chryzolitowego trysną gałęzie rubinowe, a z pośród liści opalowych, szumiących muzyką harf, strzelą kwiaty z czarnych dyamentów... bo są kamienie drogie i harfy! Gdyby z tęczy? Są mgły i barwy. Chcenie rodzi się z myśli, a jest wszystko, o czym pomyśleć mogę, czy też mogę myśleć tylko o tem, co jest. Im szybciej bieć, tem zaklęte koło widnokręga szybciej pędzi...

— Ja bóg?! — krzyknął zrywając się: — Że zatrzymam chmurę lub ją zwieję tchnieniem swego chcenia? Wiatr sam porzuci czasem obłok w pustyni błękitu, lub rozpędzi czarność nawałnicy, ani wiedząc, iż bogów czyni z tych, co właśnie tego pragnęli. Jakież chcenie stworzy w duszy ludzkiej uczucie lub myśl, których zarodek nie był dany przed wiekami, by skroś chaos rozkwitów i przekwitów szedł do bytu prawdziwego... czy też do nicości? Co stworzyłem, com zniszczył w wiecznym porządku rzeczy? Istnieją wciąż króle i parye, dziewice

i morderce, żebraki i bajadery. Cóż bytowi, że jakiś pyłek i blask przesuną się o włos i mgnienie? Pogasiłem nędzników napotykanych: zgasiłłem podłość, nędzę i hańbę? Moc moja nad tym, kogo wzrokiem lub myślą dosięgnę: tak wóz rozgniata płaz, co pod koło wpadnie. Samże tych wszystkich na drodze swej postawiłem? Może tak samo myśli swoje napotykam? Ja — potężny? Mogę złudzić tych, komu bałwan z kruszcu — też bogiem.

— Nie, nie! — opamiętał się wreszcie: — Zanim łamać widnokrąg, niech potargam wprzód zaklęte koła, o które się pokrwawiła ma wola, które rzucały serce moje, bym je sam deptał.

I szedł do nowej zemsty przez bory i góry, przebywał rzeki i morza, tłumiąc niepokój, co wciąż rósł, skupiał się i rozpalał:

— Gdzie pochwycić tamten pierwiastek gwałtu na duszy? Ten można było choć obrazić. Jak dać swej mocy tryumf nad duszą dawnego władcy? Lud! Gdzież oczy krwawe tego bożka?

— Pogubić tych, co rządzą? Cóż potworowi, że mu się wyczese trochę pasorzytów? Chwila ulgi, nim nowe znajdą drogę do krwi. Wybrańcy ludu? Każdy majestat musi mieć

sługi i dworaki. Cóż władcy po pochlebcach, co liżąc stopy, odgryzają perły z obuwia? Wytepić jednych, zastąpią ich wnet nowi. Wyjść na plac i krzyknąć: „precz z ludem! niech żyje wolność!“ Nie zrozumieją, bo wolność znaczy u nich właśnie władztwo ludu. Formalne, bezpośrednio, bo w istocie — włada on wszędzie. On panem nawet tego, kto nosi nazwę króla królów. Gwałt, rabunek i mord — drobnostki to dla tego ludu, więc pozwala pławić się w złości i krwi bednarzom, co obręczem własnej jego woli trzymają każdą jego istnienia. Ale niech kto śmie zmącić zawartość kadzi — jakąś wiarę powszechną, czy strach, czy potrzebę...

— Nie, tam też nie oczy boga były mi winne — zawołał. — Moc moja przeszła, jako wiatr, a ludu tego — została, jak ziemia.

— „Precz z ludem!...“ Gdybym tak krzyknął, wziętoby mnie za waryata. Ze zaś byłbym niedostępny, uczeni sprzeczałiby się o nazwę i określenie siły, którą obłąd mój ze siebie wypromienia, kłócąc się z tymi, co wszystko to mieliby za przywidzenie tłumu. Gdyby nawet dech mego ducha gasił tyle żywotów, co dech piersi mógłby zdmuchnąć kagańców, mędracy, spierając się o przyczyny, szukałoby nazwy dla

choroby, zabijającej wizy gorączkową olbrzyma o oczach z płomieni czarnych, a pozostali — pozostaliby ludem. Nie pojęliby kary, nie uznaliby mnie. Oczekujący Antychrysta rzekliby: „Antychryst!“ Dręczeni przez złe duchy: „to zły duch“. Wrogom każdego z zabitych byłbym ujmującą się za nimi Opatrznością. Dla słabych głów — powodem obłądu... Ci, których dusze dałyby się nawet porwać i ujarzmić, uwierzyliby we mnie, jako w proroka, i kazaliby wieść stado niezliczone do wszelakich własnych złudzeń... Jak ślepiec psu...

I spragnieni walki szliby za mną przelewać krew; miłośnicy pokoju — do miłości powszechnej; mędrzy — ku prawdzie. Jak wszyscy prorocy i bogowie każdego bym wiódł tam, gdzieby on sam chciał. A zemsta ma pragnie, aby dusza tyrana pojęła, że to ja, żem wolny, że nastał koniec panowania Lewiatana.

I przystanąwszy na wzgórzu, przez które szedł, wyciągnął ręce rozpacznie, jakby pokorą schylony, i zawołał:

— Duszo ludzkości! niema cię i jesteś wszystkim. Czyś bóstwem?

Ale się wnet wyprostował i rzekł:

— Osadnik las pod łan karczując, niszczy

mrowisko. Ziemię, tak padnie słowo: „dość leżałaś odłogiem, uprawię cię“.

I ruszył dalej, myśląc:

— O Widzący! nie wysłuchałeś mnie. O potęgę błagałem, a otom niewolnik. Moc moja niby tchnienie ust czyichś, jako wiatr, co dźwiga fale mórza lub pustyni, aż się znuży lub góry drogę zastąpią. Że w chceniu mojem sprzęgną się moce wichru, dżdżu i słońca, by mi cienia użytyć?... Więc najędzniejszy z ludzi zaledwo o kilkadziesiąt lat lub kroków za mną jest w drodze przez wieczność i nieskończoność ku boskości: tyleby czekać trzeba na nowe drzewo lub tyle kroków przejść do najbliższego stąd. Zabijam bezkarnie? Taką boskość osiąga król królów ceną słowa, skinięcia, wreszcie odgadniętej przez raby chęci. Jak nędznik pożądam zrozumienia i moc swą tężę dla rozkośzy, dla zła lub dobra innych nędznych, i tylko większą ilość owadów zgnieść mogę i naglej. Gdybym z hordą spadł na zamek Alamgira, nasyciłbym się tak samo tańcem i szalem i ciałem i śmiercią tancerki. Wiedziałem, iż Alamgir ma zamrzeć, dwór — zdrętwieć, opętana żądzą mą bajadera — paść u stóp moich. Byłem pewny, jak sam Alamgir przed chwilą.

Przejąłem tylko lecącą ku niemu kaskadę rozkoszy: nic więcej. Ale... gdybym był tam jednym z niewolników, a jej upojenie tańca i miłości, gnane ku Zdobywcy Świata całą świetnością, potęgą i grozą władczą, rzuciło ją pomimo to przedemną? gdybym, niepomny — nie martwych i skutych, lecz — żywych i władnych, padł ogniem pocałunku na jej drgającą szaleńczego pragnienia nagość?... Czyż nie większym byłoby dla mnie to mgnienie? I dziś byłbym szczęśliwy, jak ona, miał rodzić sobie duszę. Czemże mi byli wszyscy ci pobici rozkoszą czy grozą? Niewolnikami. Bramin syci ciało rzeczami czystymi, a ja swoją rozkosz i dumę — najohydniejszemi: niewolą.

— Tak, runęła na nich lawina mocy mojej, odurzyła, zabiła... Ale sami to wywołali! Gdyby nie moc ich istnień, uczuć i myśli, moja — została by we mnie. Więc znów niewolnikiem byłem niewolników swoich? Więc tylko temu, co nie umie spojrzeć w górę, zdać się może, iż jest wysoko? Jakąż nędzą duma istoty, co siłę swą mierzy słabością innych. Myślą mą nie wieczność i nieskończoność bytu patrzyła na mnie, nie dusza własna, lecz nędza mych ofiar. Tak gaśienica bogiem byłaby tkance,

która ją żywi, kret — gąsienicy, żmija — ptaszęciu urzeczonemu. Był ciężarny jest nieskończoną ilością światów. Gdybym nawet ziemię mógł zburzyć, byle owad rzekłby mi: „listek zniszczyłem, jestem też bogiem...”

— Rishí, Rishí — zawołał ręce załamując — pociós rzekł: „stwarzasz i niszczysz?” Cóż stwarzam, prócz złudzeń, co duszę mą strącają z drogi ducha twego? Cóż niszczę, prócz mocy własnej, co przez śmierć samą iść miała w byt prawdziwy?...

Ucichł. Ręce opadły. Szept ledwo uchwytny powtórzył:

— Złudzenia stwarzam, niszczę moc swoją.

I przestwór zasklepił się nad nim stropem świątyni tęsknoty. Poszła w dal nawa coraz mroczniejsza, chyląc się od górności niebios do ciasnoty grobowej. I coraz rozpaczniej drętwy zniżał on lot swych ptaków królewskich — oczu i serca — do wieczystej, wypełnionej mrokiem cieśni.

Nagle z ponurości, co zdawała się już końcem bez czasu, błysło światółko, takie słabe, takie dalekie i oddalające się, jakby chciało rzec, że poza tem jest jeszcze nieskończoność.

Długo stał wpatrzony nieruchomo w owo

światełko, co wytrysło z nicości, potem w wir, gwiazdny, co wykwił z tego pąka, potem w oczy Widzącego, co z wiru wykwiły. Wreszcie ruszył przed się, niepomny bożków ni zemst. Z grobu, czy już z otchłani bytu czy też duszy własnej wędrowca patrzył Rishi zza rządzącej mgły powiek i gwiazd.

I wędrowiec już tylko ciszą duszy i tego wiru nieruchomiejącego, i nieskończonością dali, z której przychodził i w którą szedł wzrok Widzącego, nieuchwytnym nawet dla własnej myśli szeptem mówił:

— Wolność.

V.

Dawno porzuciwszy krainy wiecznego szału słońca, szedł półsenny przez ziemie, gdzie chłód gorzej liście przepala, przez pola — jak dusza jego smutne i puste, przez lasy, których nagość jeszcze rozpaczliwszą czynił ostatek ponuro barwnych liści, niby resztki beznadziejnie obumierających tęsknot: wiatr porywał, igrał, rzucał na ziemię — na gnacie.

Równina zaczęła się łamać. Fale wzgórz nadbiegały coraz większe, coraz grzebieniastsze. Osypane szronem lasy iglaste zaczęły się stać świątyniami ciszy i tajemnicy. Pod stopy słał się coraz puszystszy i przeczystszy kobierzec śniegu, a na skraju widnokręga gęstniał ukazujący się co chwila wał chmur białosiny — góry.

Pewnego dnia nad wieczór zerwała się zamieć. Gnała w oczy miryady ostrych igieł lodowych, mroziła szpik, nogi więziła zwałami śniegu. Odeszła, zostawiwszy młodszego brata, wiatr, by przy jaskrawem świetle księżyca równał zagarnięte państwo.

Na jednym ze wzgórz trafił wędrowiec na cmentarz wiejski. Utuczone tukiem śmierci karłowate sosny i wysokie świerki — dzikie, gęste, czarne, potworne — szamotały się wściekle z wiatrem, a w ich świst i wycie wplatało się niekiedy skrzywienie rozchwianych krzyżów. Żadna mogiłka nie wznosiła się ponad równość śnieżnego całuna. Promienie księżyca ostrością strzał przedzierały się gdzieniegdzie przez szalejące konary.

Na skraju padał na tło olśniewające krótki czarny cień nieosłoniętego krzyża, i tuż wędrowiec ujrzał mgiełkę jasno-zieloną, igrającą ponad śniegiem z wiatrem i blaskiem: jakby duszyczka w postaci ledwouchwytnego tchu wydobywała się z grobu. Zbliżył się: było to długie pasmo rozwiane jasnozłotych włosów.

Chwilę patrzył nieruchomo na płasy jedwabistego pasemka. Potem schyliwszy się przytulił je do ust — ostrożnie, ostrożnie, żeby nie

zruszyć gładkiej powierzchni. Wreszcie rozgrzebał spiesznie sypki śnieg, i ukazała się dziewczyna skostniała, oparta o mogilkę darniową.

Długo patrzył na cudną twarz białosci otaczającego śniegu: wiatr targał teraz cały potok jej włosów. Wreszcie znów się schylił i dotknął ustami w lód ściętych powiek: dźwignęły się i odsłoniły szkliste, senne, na księżyc zwrócone ogromne oczy. Przytulił usta do ust zamarłych: poruszyły się, jakby szepcząc. Potem, dotknąwszy jej czoła i serca, zawołał:

— Rami!

Drgnęła, oczy nasiąkły myślą, policzki krwią. Wziął ją na ręce i poniosł ku wiosce, której budynki wyraźnie się rysowały na przeciwległym wzgórzu.

Było jej błogo. Od szerokiej piersi, do której ją tulił, szło dziwne ciepło i siła. Wnet uczuła, że mogłaby już iść sama, ale nie śmiała się odezwać do tego nieznanego, co ją uratował, zawołał po imieniu a teraz niósł, jak dziecko.

Wszedłszy do pierwszego domku z brzegu, minął sieni i postawił dziewczynę na ziemi u drzwi na lewo. Otworzyła je i weszli. Przed krucyfiksem rozpacznie zamodlona klęczała sta-

ruszka. Odwróciła się i krzyknęła: „Rami!“ takim szeptem, jakby witała widmo.

Rzuciła się ku niej dziewczyna, podniosła z ziemi, ułożyła na łożku, przyklękła. Z ich przerywanej czułości słowy i uściskami rozmowy dowiedział się, że porządki domowe i obsługa chorej babki dopiero nad wieczór pozwoliło Rami wybrać się na grób ojca, choć ją ostrzegano, że ma się na zły czas.

— Miałamże nie pójść do ojca w dniu jego święta? — mówiła. — Bo w grobie? bo nie mówi swoich mądrych słów, nie czyta ze mną starych ksiąg? bo cztery lata minęło?... A cóż mama powiedziała mi w swoje święto? „Szczęście, że to lato, bo niktby na mogiłkę moją nie przyszedł pacierza zmówić!“ A kiedym się pomodliła, już świata nie było widać. Potem w dolince między wsią a cmentarzem — czy wichur mnie obrócił, czy sama zbłądziłam: pnę się do góry, a przedemną znów cmentarz, nie wioska. Wymiarkowałam jaknajlepiej kierunek od wrót, ale znów zawróciłam się w dolinie i doszłam do cmentarza. Zmęczona byłam, zziębnięta strasznie i senna. Uklękłam jeszcze raz przy grobie ojca, prosząc o pomoc, i po raz trzeci ruszyłam ku wiosce. Dolinę tak zawiąło

śniegiem, że, zapadając się niekiedy z głową, gruntu nie dostawałam. Przebrnęłam i ostatnim wysiłkiem wdrapałam się — znowu ku cmentarzowi. Nie czułam już zimna. Sił mi starczyło tylko na zrozumienie, że ojciec chce, żebym została przy nim, i dowleczenie się do jego mogiły. Potem zasnęłam. On mnie obudził.

Ucałowała rękę babki, spoglądającej ku drzwiom oczyma błogosławiącemi. Wreszcie Rami wstała z klęczek i poszła ku wędrowcowi krokiem coraz wolniejszym, coraz bardziej nieśmiała. Stanąwszy przed nim po chwili pochyliła się szybko i ucałowała też jego rękę i rzekła:

— Mnie całą siłę oddałeś. W postaci twej znużenie ogromne, w twarzy gorączka. Spocznij! Zaprowadzę cię do izby braci, którzy się nazywają... Ale tyś odgadł moje imię: pewno wszystko wiesz.

Wędrowiec poszedł za tem dzieckiem, co smutek i rozpacz brało za znużenie i gorączkę.

— Jakżeś ty odziany, jak mogłeś znieść?... Oto ubranie Wena. Nie, Sar wyższy, ale ty pewno wyższy nawet od Sara. Oto jego posłanie. Połóż się. Tak, dobrze.

Rozniecila ogień, przyniosła wieczerzę. Za

krzątającą się po izbie wodził oczyma, jak senne dziecko. Kiedy wreszcie zabierając się do odejścia rzekła mu: „Spij zdrów“, nic nie odpowiedział, tylko pół przymknął oczy. Stapając na palcach, wiotka i lekka, otworzyła cichutęńko drzwi, i wchłonął ją mrok sieni.

Zwrócił oczy na ogień, ale z niego też patrzyły pogodne, litościwe i wdzięczne oczy błękitne z białej twarzy, okolonej kaskadą złotych włosów. Chwilami jasność wzroku olśnieniem gasiła rysy, nawet barwę oczu. Wreszcie pomyślał powolnie:

— Chciałbym...

Nie zdążyły dowlec się do świadomości wyrazy: „ujrzeć ją“, jak drzwi się otworzyły, i wyblęśta z mroku sieni. Szła jak zaklęta. Milcząc uklękała u wezgłowia, przykuwając oczy do oczu urocznych. Zdawało się, że patrzy znów z głębi ogniska. Spadający na ramiona potok złotych włosów zdawał się z płomienia. Lica jej z coraz dalszej dali przeglądały, niby zza szumu i blasku komety olbrzymiej. I wędrowca chwycił lęk, że te oczy wsiąkną w otchłań, rozwieją się w płomieniu, co wnet sam zagaśnie, jak ciało bez duszy.

I oto ognisko zaczęło przygasać, oczy urze-

czone wracać ku niemu, usta się chylić: twarz owiał mu przenikliwie ciepły, rzeźwiący i upajający oddech...

Nagle porwał się gwałtownie i usiadł na łożu. Drgnęła z przestraczem, cofając głowę i ramiona.

— Rami — rzekł — wszyscyśmy niewolnicy jedni drugich, ale za głąb błękitną wiosny, dobroci i nadziei w twoich oczach, za snop promieni, darowanych ci przez słońce na włosy, za czar twej młodości, taki dziewiczy, jak śnieg wieczny na szczycie Gauryzankaru, za nieskończoność tęsknoty mojej — daję ci dar wyższy nad wszelką władzę. Gdybym prośbą lub rozkazem słowa czy myśli nie odgadł własnej twej, choćby tobie samej dotąd nieznannej chęci — nie usłuchasz: wolną bądź względem mnie!...

— Co mówisz? — szepnęła przerażona.

— Ktokolwiek na ziemi zbliża swe życie do życia innej istoty, traci część wolności swej i bierze część wolności cudzej — pan i niewolnik. Tyś największym cudem: najbliższe a najmocniejsze życie świata nie skradnie ci ani jednego promienia wolności. Więcej nikt ci dać nie może, chyba cię zabił. Bo niewoli nie zna tylko to, co martwe, a wolność na

ziemi zna chyba tylko nadziejskie skupienie życia, mocne oderwać się od wszelkiego ziemskiego. Wolność — to tylko boska samotność ducha...

I powtórzył wielkim głosem:

— Wolność!...

I chciał zaprzysiądz, że wyrzeka się na wieki tej boskości własnej — dla jej miłości, ale uderzyło go jej osłupienie przerażone. Więc stłumił uniesienie, przygasił oczy, ściągnął do równa usta, które mu wykrzywił uśmiechem ból ironii, potem uśmiechnął się łagodnie, jak ojciec do nierozumiejącego dziecka i dodał:

— Nic mi już nie trzeba. Odejdź!

Pochyliła się, jak przed królem, i wyszła, pełna litości dla gościa, który tak majaczył, i smutna, że nie śmiała go nawet poprosić, żeby się napił ziółek pomocnych.

Ognisko dogorywało. Chwilami w ogromnej dali, w którą patrzył, skrós migotanie coraz dziwnobarwniejszych i przeźrocystszych płomieni, zaczynała wirować wędrowcowi owa mgła gwiezdna. Ale czuł, że gotów z niej wyblysnąć nie wzrok, idący ku prawdzie wiekuistej, któremu za formę i barwę były otchłań i tajemnica, tylko patrzący tęsknotą miłości błękit oczu dziewiczych.

Płomienie wygasły. Węgle groźnie się żarzyły, wreszcie zaczęły się tylko tlić, szarzejąc. Wtedy też szarawa jeszcze światłość zaczęła się przedzierać przez okna, powoli zalewając ciemne kąty, nawet sam kominek. Myśli wędrowca były również szare i smutne.

— Cóż potęga moja? Nawet pragnienia me nie śmią spojrzeć ku istocie, której moc tworzenia i czucia tak obejmuje moce i czucia ludzkie, jak przestrzeń — wszystkie rzeczy. Dziecko nędzarzy — zazdrościłem paziom pańskim; paź — panu; pan — królowi swemu; król — królowi królów; król królów — przebierałem się za nędzarza i pragnąłem osiąść moc nadludzką, by potem żałować znów, że w pałacu Alamgira nie był niewolnikiem, kochanym na mgnienie za cenę życia. Żebrak pyszni się miejscem u lepszego filara świątyni, datkiem większym lub nawet kalectwem rzadszem: wznieść się nad takie złudzenie dumy i szczęścia, nad poziom czuć i ocen ludzkich...

Blask zorzy wpełził na popioły ogniska, a poczucie wielkości swej do serca wędrowca.

— Czemże zdałby się trzymający widomie srogiego i wolnego lwa za grzywę? A stać wśród tłumu z piorunem w ręce, któremu się

nakazało milczenie, z mocą, wobec której siła dziesięciu tysięcy lwów — niczem? Stać jak bóstwo...

— Nie! — krzyknął nagle — został mi dawny duch!

Rozpaczna wzgarda dla siebie samego i poczucie rozpaczne swej niemocy i nędzy zalało mu duszę, i sam nie wiedział, czy z tego odmętu wyszedł głos, czy dźwięki pierwszy potok promieni słonecznych, czy echo powtórzyło słowo do Rami, czy własne jego usta znów wymówiły:

— Wolność!...

I zaczęło się rozwiewać powoli wszystko, co więziło i ludziło wzrok: z nieskończoności w nieskończoność przez jego duszę patrzył znów Rishi.

VI.

Chmurzyska zawały niebo; wyjącem na ziemi wirom wichrowym spadał z niego drugi świat, rozkruszony na pył śnieżny; domek drżał i skrzypiał. Ale wędrowca wyrwało z zadumy dopiero wejście Rami. Chwilę patrzył w nią, jak w sen, aż dostrzegł, że zapłakana i drżąca.

— Co tobie, dziecko? — zapytał.

Wybuchła łkaniem, zmieszaniem ze słowami:

— Bracia teraz w górach.

— Na południe będą w domu. Bądź zdrowa.

Wyszedł nie spojrzawszy nawet na spokój nagły i radość jej twarzy. Ale wnet zwiędły w niepokój i żal. Opamiętawszy się pobiegła za odchodzącym, i czepiając się odzieży i rąk, chyląc się do nóg, błagała, by jej tak nie po-

rzucił, nie szedł w taki czas śmierci, zaczekał na braci. Włosy jej roztargał wichur, i blada była, jak na cmentarzu.

— Na toż — mówiła — uratowałeś mnie, by zaraz zgubić? Pójdę za tobą... Pożaluj Sara, którego sambyś pokochał, i babkę i Wena, co mnie mają jedną. Raz się mnie ulitowałeś...

Po chwili Rami krzątała się koło śniadania pośpiewując; zamodlonej, jak wczora, babce na przypomnienie okropnego niebezpieczeństwa nad braćmi, odparła ze śmiechem, że wrócą na południe.

Wędrowiec nie spuszczał z niej oczu, jakby była pierwszą jaskółką aniołem, zwiastującym wiosnę sercu. Marzył: zapomnieć o zemście dla miłości, o potędze dla wolności. Oto symbol piękności człowieczeństwa, poświęci mu wdzięki duszy swej i ciała, choć on rozkoro- nuje czoło swe ze wszelkiego cienia tyar. Odtąd gwałt nie będzie sycił jego rozkoszy padliną niewoli. Z najtajniejszej głębi duszy jej, żadnym ludzkim nie skrzywiony dech wionie w jego duszę, i spotkanie się dwóch tchnień stworzy taki wir szczęścia...

— Czy ów Sar jest tylko bratem najuko- chańszym?

Tymczasem Rami krzątała się wciąż wesoło, to wyglądając w stronę gór, to nasłuchując, to opowiadając. Wędrowiec dowiedział się, że w całej okolicy Wen jest najdzielniejszym myśliwym i tylko Sarowi ustępuje; że nie ma też piękniejszego młodziana — prócz Sara; że Wen najsilniejszy, najrozumniejszy, ale Sar... Lada dzień wypadnie Sarowi iść daleko do stryja, który mu chce dać duży majątek. Ale wróci, bo choć jest tylko przybranym bratem... Ojciec jej, który był bardzo uczony, powiedział raz, że Sar jest odeń uczeńszy.

Pokazała księgi, które czytała ongi z ojcem i Sarem, pytała o dalekie kraje, morza i gwiazdy, a kiedy wędrowiec mówił o nieznanym jej cudach, zapominała nietylko roboty, lecz nawet wyglądania braci. Wreszcie gdy obudziło ją z zasłuchania długie milczenie, rzekła:

— Jesteś uczeńszy od Sara.

Wrota skrzypnęły, i dwa buchające parą i śmiechem słupy śnieżne wciągnęły na podwórze śnieżną kłodę — cielsko niedźwiedzie na skleconych po myśliwsku z gałęzi saneczkach. Dziewczyna już biegła, zanim młody i silny głos zawołał:

— Rami, chodź zobacz, jakiego ci gościa przywozimy.

Klasnęła w rączki nad misiem, uścisnęła myśliwych i zawołała:

— Chodźcie wy prędzej zobaczyć gościa, który mnie wczora znalazł taką skostniałą, jak ten niedźwiedź, i przyniósł do domu.

Opowiedziała w krótkich słowach swą przygodę, i młodzieńcy z wielką czcią i serdecznością uściskali dłonie zbawcy, który aż musiał prosić, żeby się przestano unosić nad jego bohaterstwem. Na zakończenie Rami rzekła do Sara:

— Nawet ty nie dokazałbyś tego dla mnie.

Zasiadłszy do stołu młodzieńcy opowiedzieli o swoich znów przygodach, jak zamieć uniemożliwiła wielką obławę, do której powołano wszystkich myśliwych z okolicy, jak odłączywszy się od towarzyszy zbłądzili, jak zapadli się wprost do legowiska misia, jak pewni zguby wśród zamieci żalowali — Sar, że nie zobaczy Rami, Wen, że przypadnie zdobycz: od kiedy świat światem nie ubito takiego wielkiego niedźwiedzia, który przytem nie zdążył nawet jeszcze schudnąć. Po obiedzie Sar zawołał:

— My tu sobie uczujem, a towarzyszy marznie na dworze:

Wen i Rami się roześmieli i wybiegli wszystko troje, ale kiedy bracia umawiali się, kto jak ma wziąć potwora, wędrowiec, przypomniawszy sobie siły młodości, dźwignął go jak piórko i poniósł. Młodzieńcy po chwili zdumienia uścisnęli ręce jego z takim niemal zapalem, jak za przyniesienie Rami. Ta zaś rzekła.

— Mocniejszyś od Sara.

Zaledwo wrócili do izby, weszła dziewczynka kilkoletnia. Nóżki i rączki miała sine, całe ciało drżało pod jedynem ubraniem — koszuliną.

— Rami — mówiła usteczkami sinemi i dzwoniąc ząbkami — mama nie wróciła z miasta i naszym małym strasznie zimno i jeść się chce.

Wszyscy zamilkli i posmutnieli, jakby nie wiedząc na razie, co robić. Wreszcie Wen dał dziecku kawał chleba. Rzuciło się do drzwi i, tylko ślinę przełknąwszy, chleb schowało skwapliwie w zanadrze, próbując zaraz, czy sznureczek, przepasujący koszulinę nie rozerwie się w biegu powrotnym. Ale Sar zawrócił

dziewczynę i dodał kawałek sera, kiedy zaś znów chciała uciekać, zatrzymała ją Rami: zebrała do koszyczka resztki obiadu i oddała. Tymczasem babcia zwlokła się z łóżka i uknęła przed krucyfiksem: wszyscy zrozumieli, że chce się modlić za matkę i dzieci.

Stópki i rączki małej były już jak krew czerwone. Z radością, co tak drżała w oczętach, jak ząbki w buzi, zwróciła się ona znów ku drzwiom, ale wędrowiec wstał, wziął biedactwo na ręce, własnem ubraniem otulił trzymającą wciąż mocno — mocno koszyczek i poszedł. Rami i braciom zdało się, że niósł ciężar swój z większym wysiłkiem, niż niedźwiedzia, a on tak tężył wolę, żeby nie dać chęci swojej przyznać wnet maleństwu temu na skrzydłach wiatru gorącego — kwiatów i owoców zza mórz dalekich.

Kiedy śnieżycą ustała, Rami pobiegła zobaczyć, co się dzieje z dziećmi i wędrowcem. Zastała go przy kupie drew i zdziwiła się, że tyle ściągnął i narąbał. A zobaczywszy, że zdążył załatać dziurę w dachu, przez którą śnieg prószył aż do izby, zawołała:

— Sprawniejszy od Sara.

Weszli do izby: było zamiećione, palił się

na kominku wielki ogień, dzieci się bawiły syte i wesołe. Taż sama dziewczynka rzuciła się do niej, wołając:

— Opowiedział nam o takim Bogu, co kocha nawet biedne sieroty, i obiecał, że mama wróci.

Rami długo stała milcząc, aż wyszeptała:

— Panie, tyś lepszy od Sara.

W parę dni potem powracający z polowania wszyscy trzej zastali u Rami kilka towarzyszek, które, odrazu onieśmielone i poważne, zaczęły szeptać podziwy dla wędrowca. Usłyszawszy, co bracia opowiadali o nowym towarzyszu, rzekła Rami:

— Więc jesteś większym od Sara myśliwym.

A towarzyszkom musiała przyznać, że nie widziała nigdy czoła wynioślejszego, postawy wspanialszej, rysów delikatniejszych, oczu większych i ognistszych:

— Piękniejszy od Sara!...

VII.

Pogasty cele dumy i potęgi. W którąż stronę pustyni życia mógłby się skierować? Tu — oazą mu czyniło marzenie o cichem szczęściu, lepiej niż zapomnianem od świata całego — nieznanem.

Uprawiać ogród i pole, patrząc na śnieżne gór szczyty; polować wśród skał dzikich na kozice i niedźwiedzie, bez myślenia czując, że w domu czeka uścisk ramion Rami, radość jej oczu i serca, pocałunek ust i duszy!... Czytać z nią dziwne księgi!... Spokój po wszystkich rozterkach. Szczęście życia — nie rozkosz chwili. Królewskość istoty, nie tyary; bezwzględna wolność — nie gwałt czaru.

Serce jej chyliło się ku przybranemu bratu: niechże się raczej przechyli, niżby miało uleść gwałtowi mocy czarodziejskiej.

Gdyby owa kurtyzana spieszyła wtedy nie do kupca, lecz do jakiego posiadacza władzy, nie zawróciłaby może z drogi. Gdyby jednak wołała nawet umrzeć, niż uleść, żądza satrapy rękami żołnierzy i eunuchów ubezwładniłaby samą jej rozpacz, nietylko obronę... Czyż świadomość, że się czarodziejstwem przemożnem skrępowowało myśli i czucia niewolnicy, nie zdmuchnie czaru duszy z szafu ciała?

Jeden gracz z niezwykłą i obcą przeciwnikowi zręcznością rzuca kości na swą korzyść; drugi morduje szczęśliwego przeciwnika, by zrabować, co przegrał i co chciał wygrać.

— Mnie ten tylko los niech służy, którego sam sobie nie daję — myślał: — Sztuczniej od Sara i Wena nie wzmagam hartu mięśni swoich, ani wiązę pocisku z celem, ni ostrzę wzroku, by przebić zasłonę przyszłości. Spotkałem ją, niby jedyną nadzieję bytu w nicości, kiedy świat był pustynią śnieżną; w martwej życie zbudziłem. Pragnę choć raz ucałować w oczach dziewiczych wieczność wolnego kochania, nie zaś tylko odbłask czy cień swej władzy. Czuję, że źródło tęsknoty do piękności jej ciała i ciszy serca bije mi z nieskończenie większej głębi, niż najdziwniejsze przypadki.

I wiem, że kocham wolną duszę, bo sam wolność jej dałem, bo kocham... nawet wbrew przeczuciom...

— Czym szalony? — przerwał sobie tok tych myśli: — Nie z jednegoż źródła idzie wszelka moc i piękno? Jeśli wzrok i myśl Rami bezemnie trwałyby przykute do Sara, nie byłoby zwrócenie ich ku mnie gwałtem ognia mych źrenic i uczuć i stali mięśni moich? i wszystkiego, co dała mi młodość dążenia do siły, wiedzy i potęgi, i życie się z tem wszystkim wieku męskiego, i wzgarda dla wszelkiej mocy ludzkiej — dwumiecz myśli, którego jedno ostrze sercem się naciska, by drugie przenikało w rzeczy?... Tak, lecz wszystko, czem Sar ją do siebie przykuwa nie jestże też czarodziejstwem, tylko zwykleszem i słabszem? Więc Rami zmieniałaby tylko niewolę...

— Precz! precz! Niech będzie wolna od gwałtu wszelkiej mocy, jaka jest we mnie. Co się ze znikomości rodzi, jest znikomością. Pragnę miłości jej, ale niech ta miłość będzie sama przez się — jak słońce, nie zaś jak przezemnie zapalony kaganek.

A skąd wiem, że nie moja wola słońce

zapaliła? Ach, niech więc tajemnica miłości Rami będzie dla mnie siostrą tajemnicy bytu.

Kiedy Sar wyjechał do stryja, Rami coraz częściej go wspominała, aż w końcu przybladła z tęsknoty. Czuł to wędrowiec, ale nie śmiał myśleć, co się stanie, kiedy pustynia zagarnie ostatnią oazę.

Kiedy śniegi znikać zaczęły, raz nad wieczór Sar, piękny i strojny, wrócił prosić siostrę przybraną, by została jego żoną. Powiedzieli sobie nawzajem, że się kochali od dzieciństwa, a otrzymawszy błogosławieństwo babki i uścisk Wena, trzymając się za ręce pobiegli z nowiną do wędrowca, który pracował w ogrodzie.

Za progiem pierwsza spotkała ich dogasająca zorza wieczorna: zrozumieli, że ich szczęściem rozplonęła. W ogrodzie zwierzyli się sobie, że jest tak dziwnie ciepło i radośnie, jakby stąpali po murawie kwietnej wśród drzew, kwieciami okrytych.

W głębi ogrodu przy napół spróchniałej jabłoni znaleźli wędrowca, który pracą mięśni przysypywał myśli, jako piaskiem zarzewie. Zaczęli mówić jedno przez drugie, ale słowa

uśmiechnięte i zarumienione padały na jego serce deszczem gładkich obłąkanych i ognistych: stało się jak zwierz ogromny, miotający się z rykiem konania.

I tytan mocy porwał się w wędrowcu, wznosił czoło nad obłoki i wyprężył ramiona ku niebu, by z największej wysokości rzucić w dół drżącą w ręku lawinę szału. Zapanował nad nim z takim wysiłkiem, aż się zachwiał i wsparł ręką o drzewo.

Jakby odczuli grozę mgnienia: zamilkli wpatrzeni weń rozszerzonymi źrenicami. Po chwili rzekł spokojnie:

— Bądźcie szczęśliwi.

I dodał szeptem do siebie:

— Sam tylko byłem niewolnikiem...

Kochankowie wciąż stali milcząc i nierozumiejąc, kiedy wzrok jego już dawno minął ich, pobiegł w dal ku zawieszonym nad otuloną we mgły ziemią, jakby gotowym wzbić się w mrok błękitu szczytom śnieżnym, potem ku wybłyskującym gwiazdom.

Trza iść, ale ni do potęgi, ni do zemsty, ni do rozkoszy... Nagle padły mury niewoli — schronienie ostatnie wśród bezmiarów pustyni życia. Czuł jeszcze przez chwilę, że już tylko

cienie same tych murów bronią duszę jego przerażoną przed zalewem morza nieskończoności, co grozi czemś straszniejszym, niż zniszczenie ostateczne.

Aż wreszcie otchłań runęła w otchłań... I wnet poszedł przez nie — tylko dla wszystkiego, co podłe, śmiertelny — wzrok boski...

Tej chwili kochankom zza szczytu, co tęczę spłonął, ukazał się już srebrzysty księżyc, topiąc w mroku zupełnym ukrytego pod drzewem. Przytulili się jeszcze mocniej i krzyknęli nagle oboje; drzewo, martwo nagie przed chwilą, stało gęstem kwieciami okryte. Zrozumieli, że to dla nich, i zachwyty złączył ich usta pierwszym pocałunkiem miłości. Opamiętało ich dopiero wołanie Wena. Pobiegli, by znów jedno przez drugie opowiedzieć babce i bratu o cudnej i cudownej wróżbie szczęścia. Zgadziali się, że biedne stare drzewo, które ostatnimi laty połowy konarów liśćmi nawet odziać nie mogło, podsłuchiwało oczywiście rozmowę ich o kochaniu, wiośnie, ale poza tem różnili się w zdaniach: Rami pewna była, iż sprawił te dziwne uściski Sara, co przyjechał tak niespodzianie, taki wierny i kochający; Sar zaś twierdził, że życie czarem takim trysnęło z drzewa właśnie w chwili, kiedy

Rami, którą dotąd on tylko garnał do siebie, sama się doń przytuliła.

Odurzeni szczęściem zaprowadzili do cudu nietylko Wena, lecz nawet babkę: wszyscy wrócili z gałązkami wonnego kwiecia różowego. Zerwany poprzednio kwiat najpiękniejszy — pocałunku kochankowie utaili, może się bojąc, żeby woni nie stracił.

Potem zasiedli do umajonego stołu. W połowie wieczerzy babka przypomniała sobie gościa. Wen się zerwał i pobiegł do ogrodu, ale darmo wołał: gość poszedł snuć w lasy, pola i góry na włóczęgę nocną, jak to nieraz czynił, szczególnie przy takim księżycu.

Nikt się nie bał o niego: cóż takiemu moczowowi!... Tylko Rami przykro było, że nie dzieli z nią radości, ale Sar wnet ją pocieszył. Potem niepokojono się dużo kilka dni pierwszych i zachowano na zawsze dobre wspomnienie człowieka, zesłanego widocznie przez Opatrzność — babce, by uratował jej wnuczkę ukochaną, pociechę ostatnią, światło oczu, oraz by poprawił podupadłe nieco gospodarstwo; — Wenowi, by go nauczył wszystkich arkanów myślistwa; — Rami, by zachował jej życie

dla słodkiej miłości Sara; — Sarowi, by dał matkę jego dzieciom...

A wędrowiec przebywał tymczasem przestwory, nie spostrzegając, że ziemia pod jego stopami zakwita, że rozstępują się przed nim skały i cichną fale, że światło się zgęszcza dookoła niego a zamiera wiew chęci własnych i cudzych. Ani wiedział, że idzie ku owym brzegom dżungli i morza, gdzie zapadło mu w duszę wypełniające ją teraz słowo o bycie wiekuistym, nieskończonym, doskonałym, nieruchomym...

KONIEC.



1847
The following is a list of the names of the persons who were present at the meeting of the Board of Directors of the Bank of the City of New York, held on the 10th day of January, 1847.

At a meeting of the Board of Directors of the Bank of the City of New York, held on the 10th day of January, 1847, the following names were present: [illegible names]

The following is a list of the names of the persons who were present at the meeting of the Board of Directors of the Bank of the City of New York, held on the 10th day of January, 1847. [illegible text]







